Nr. 33. Kraków, Czwartek 19 Sierpnia 1897. Rocznik VI.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Floryańska L. 55, I piętro.

Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy do Redakcyi lub Administracyi, ul. Floryańska 55, I. pięt.

Rękopisów nie zwraca się. Korespondencyj anonimowych nie uwzględnia się. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów. Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Plac Maryacki L. 2, — we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ulica Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ulica Kilińskiego L. 2, w Tarnowie w biurze p. M. Rokacha.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W Krakowie: (bez odsyłki) rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60, półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień w każdy czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

PRZEGLĄD.

Hr. Badeni trzyma się rękami i nogami teki ministeryalnej. Co tydzień niemal wynajduje nowy projekt „ugodowy“, ma się rozumieć nie w celu istotnego załatwienia sporu czesko-niemieckiego, lecz dla utrzymania się na ministerstwie. Ostatni projekt ugodowy hr. Badeniego jest następujący: Sejm czeski ma zostać zwołany na nadzwyczajną sesyę jeszcze przed otwarciem parlamentu, a rząd przedłoży temuż sejmowi pięć projektów ustaw dla uregulowania stosunków narodowościowych, między nimi projekt zmiany ordynacyi wyborczej do sejmu. Hr. Badeni atoli sam jakoś nie wierzy w skuteczność tego projektu ugodowego i zwołuje w tych dniach konferencyę, złożoną z przedstawicieli „obu stronnictw“, tj. Niemców i Młodoczechów, celem poprzedniego porozumienia się z nimi co do owych pięciu przedłożeń ustawowych. Po cóż ta konferencya? Wszak oba stronnictwa są i w sejmie czeskim, więc najlepiej udać się wprost do sejmu. Ale hr. Badeni czuje to dobrze, że właściwie nie ma tych, którzyby się chcieli godzić. I dlatego mimo wszelkich usiłowań sytuacya jego jest bez wyjścia.

Przytem rząd ciągle mówi o „obu“ stronnictwach, nie chcąc z umysłu widzieć, że w Czechach istnieje trzecie stronnictwo: socyalna demokracya, której istnienia i siły dowiodły wybory z V. kuryi. A socyalni demokraci nie dadzą się pominąć milczeniem. Jeżeli w sejmie czeskim wnosi się projekt reformy wyborczej nie dający prawa głosowania do sejmu robotnikom, to dowodzi to ślepoty politycznej. Niemieccy liberali i narodowcy, równie jak Młodoczesi chcą uchodzić za demokratów, ale o prawa ludu roboczego ani się troszczą. I jedni i drudzy głośno krzyczą na ucisk, zwalczają się zaciekle, ale gdzie idzie o uciskanie robotników, tam waśń ustaje i burżuazya czeska i niemiecka solidarnie zwalcza proletaryat. Socyalna demokracya jednakowoż potrafi znaleźć środki do zwalczenia tych oszustów politycznych, którzy mają czoło mienić się reprezentantami czeskiego lub niemieckiego ludu, i tego rządu, który bawi się w niefortunną „ugodę“, ignorując proletaryat i jego słuszne żądania.

Manifestacya pokojowa w Pradze. Wśród dzikiej walki narodowościowej, jaką toczą obecnie burżuazyjne stronnictwa niemieckie i czeskie w Austryi, zaprasza socyalna demokracya zorganizowanych robotników na demonstracyę pokojową do Pragi. Hr. Badeni rozdmuchał swą niezdarną polityką ten spór narodowościowy i stoi wobec niego zupełnie bezradny. W interesie jego jest przywrócenie pokoju, a jednak żaden jego środek nie skutkuje, namiętności zamiast przygasać rozpalają się coraz bardziej. Dochodzi nawet do krwawych starć między Czechami a Niemcami.

Kwestya narodowościowa w takiem wielojęzycznem państwie jak Austrya jest sprawą pierwszorzędnego znaczenia. Do jej rozwiązania okazała się burżuazya zupełnie niezdolną. Szowinizm, w imię którego dąży się do tępienia drugiego narodu, kwestyi tej rozwiązać nie potrafi, przeciwnie, prowadzi do coraz brutalniejszych walk. Dla socyalnej demokracyi jednakowoż kwestya narodowościowa jest rozwiązaną. W zasadzie międzynarodowości tkwi pojęcie zupełnego równouprawnienia wszystkich narodów. Tylko łączność międzynarodowa daje gwarancyę sprawiedliwego uznania praw i dążeń narodowych. Prawdziwy patryotyzm jest ściśle związanym braterstwem międzynarodowem. Kto uznaje aspiracye narodowe, ten musi je uznać dla wszystkich narodów, — kto depta prawa drugiej narodowości, ten przeczy idei narodowej. „Można być bardzo dobrym Niemcem, wybornym Czechem, lub gorącym Polakiem, a przytem namiętnym międzynarodowym socyalnym demokratą“ — słowa te tow. Pernerstorfera, wypowiedziane na ostatnim kongresie austryackiej socyalnej demokracyi, zawierają w sobie jedyne możliwe rozwiązanie kwestyi narodowościowej. A teraz okaże socyalna demokracya, że tego rozwiązania dokonała nietylko w teoryi, lecz że idea międzynarodowego braterstwa zapuściła głębokie korzenie w sercach i umysłach szerokich mas proletaryatu.

Bratni nasz organ czeski *Pravo* ogłasza odezwę wzywającą lud roboczy do wzięcia udziału w wielkiej manifestacyi pokojowej w Pradze. Będzie ona protestem ludu przeciwko walkom narodowościowym, których koszta musi ponosić proletaryat. Niemieccy fabrykanci w Czechach wyrzucają z pracy czeskich robotników, młodoczeskie pisma denuncyują robotników niemieckich. W ten sposób, oraz przez wzajemne podszczuwanie usiłuje burżuazya obu narodowości wciągnąć i robotników do tej bezowocnej i wstrętnej walki narodowej. Ale uświadomieni robotnicy czescy i niemieccy nie dają się brać na lep mętnych frazesów i nie zniżą się nigdy do tego, by służyć interesom stronnictw burżuazyjnych. Nie dadzą się wciągnąć do bratobójczej walki i manifestacyą pokojową w Pradze okażą całemu światu, że nie dzielą ich żadne różnice narodowe, że umieją wzajemnie uznać i popierać swe narodowe prawa i dążności. Obwieszczą to mówcy niemieckiej i czeskiej socyalnej demokracyi na tym olbrzymim wiecu ludowym, który jasno okaże, że lud nie ma nic wspólnego ze zwierzęcymi wybrykami burżuazyjnego szowinizmu.

W przeddzień manifestacyi zejdą się socyalno-demokratyczni posłowie, redaktorzy i mężowie zaufania na naradę celem ułożenia wspólnego manifestu w sprawie narodowościowej. Nazajutrz rano odbędzie się wspaniały wiec demonstracyjny robotników czeskich i niemieckich, poczem masy ludu roboczego urządzą uroczysty pochód przez miasto. Popołudniu odbędzie się zabawa ludowa, na której razem bawić się będą robotnicy czescy obok niemieckich bez cienia wzajemnej nienawiści, w poczuciu solidarności i braterstwa. Czysty dochód z zabawy zostanie oddany na fundusz założenia czeskiego codziennego pisma socyalno-demokratycznego.

Ta wspaniała manifestacya wykaże w całej pełni bankructwo polityczne burżuazyi, a żywotność socyalnej demokracyi, która jedyna jest w stanie rozwiązać zasadniczą kwestyę życia politycznego w Austryi.

Jak z nami postępują. Przykładem niebywałej bezczelności austryackiego biurokraty jest następujący zakaz zgromadzenia:

L. 17632. Do pana Wacława Białoruskiego, krawca w Dębnikach l. 128.

Załatwiając podanie de praes. 10 bm. nie zezwalam na odbycie publicznego zgromadzenia w realności l. 91 w Dębnikach w szopie przeznaczonej na tańce, ponieważ szopa jest zewsząd otwarta, tak że zgromadzenie odbywałoby się właściwie pod gołem niebem, ponieważ nadto w powyższej realności znajduje się szynk trunków spirytusowych oraz piwa, tak że zgromadzeni mieliby sposobność oddawania się pijaństwu, co wszystko mogłoby się zakończyć niebezpiecznie dla spokoju i porządku pupublicznego i dałoby sposobność tutejszej i tak już biednej ludności do przepicia ciężko zarobionego grosza.

Przeciwko niniejszej rezolucyi wolno wnieść rekurs do Wysobiego c. k. Namiestnictwa w przeciągu ośmiu dni licząc od dnia doręczenia za pośrednictwem c. k. starostwa. — Podgórze dnia 13 sierpnia 1897.

C. k. starosta: *Starzeński.*

Pomijamy wykręt, że zgromadzenie odbywałoby się „pod gołem niebem“, jakkolwiek austryacka ustawa dozwala i na zgromadzenia pod gołem niebem. Ale drugi „powód“ tego zakazu świadczy już wprost o zupełnej

---

BOLESŁAW PRUS.

POWRACAJĄCA FALA.

13) Opowiadanie.

„Co to znaczy“ — pyta Ferdynand w marzeniu.

„Gosławskiemu urwało rękę“ — odpowiada mu jakiś cichy głos.

„Czy temu, co ma ładną żonę?...“ — pyta znowu Ferdynand, jak wówczas na jawie.

„Widzisz, jaki mądry!“ — odpowiada mu ten sam głos.

„Mądry? co to jest mądrość?...“ — mówi do siebie Ferdynand, przewracając się na kanapie, jak gdyby nie chciał patrzeć na widziadła.

Ale widziadła nie znikają. I widzi, jak wówczas na jawie, gromadę ludzi, otaczających kogoś, co leżał na noszach. Widzi jego rękę, sterczącą nad piersiami i owiniętą w gałgany, na których czernią się wielkie płaty krwi. Przeciera oczy... Naprożno! Ludzie stoją i nosze stoją, a wszystko jest tak wyraźne, że na tle szosy widać nawet skrócone cienie przedmiotów i osób.

„Jak ten człowiek cierpi!“ — szepnał Ferdynand. — „I musi umrzeć!“ — dodał. — „Ach! umrzeć!“

Zdawało mu się, że on jest człowiekiem na noszach, ze zdruzgotaną ręką, bolejącym, pozbawionym nadziei, że to jego wybladłe ciało oświetla ten straszny księżyc.

Skąd podobne myśli? Od kiedyż to szampan nasuwa tak smutne wizye?

Nagle doświadczył nieznanego dotychczas wrażenia. Czuł, że coś go nęka, obezwładnia, szarpie mu serce, świdruje w mózgu. Czuł, że chce krzyczeć, uciekać, schować się gdzieś!

Ferdynand skoczył na równe nogi. W pokoju był już zmrok.

— Do dyabła! Alež ja się boję!... — szepnął. — Ja się boję?... Ja?...

Z trudnością znalazł zapałki, rozsypał je, podniósł jedną, potarł — zgasła; drugą zapalił, a od niej świecę.

Spojrzał w lustro. Miał twarz szarą, oczy podkrojone, źrenice bardzo rozszerzone.

— Ja się boję? — pytał.

Świeca trzęsła mu się w ręku.

— Jeżeli jutro pistolet będzie mi tak skakał, to dobrze wyjdę! — rzekł.

Spojrzał przez okno. Tam w mieszkaniu na dole, po drugiej stronie ulicy, siedział Zapora przy biurku i pisał wciąż — równo i spokojnie.

Widok ten otrzeźwił Ferdynanda. Dzielny temperament wziął górę nad przywidzeniami.

— Pisz sobie kochanku — pomyślał, patrząc na sędziego — a ja ci postawię kropkę!

Na kurytarzu rozległo się stąpanie. Zapukano do drzwi.

— Wstawaj Ferdynandzie, biba gotowa! — zawołał ktoś.

Usłyszawszy znajomy głos, Ferdynand był już zupełnie sobą. Gdyby mu przyszło skoczyć w przepaść najeżoną bagnetami, nie zmrużyłby oka. Czuł znowu siłę lwa i tę szaloną odwagę młodości, dla której nie ma niebezpieczeństw, nie ma granic.

Kiedy otworzył drzwi i zobaczył swoich towarzyszów, wybuchnął serdecznym śmiechem. Śmiał się z chwilowego rozdrażnienia, z przywidzeń i z tego, że mógł pytać siebie: „Czy ja się boję?“

Nie — on się niczego nie boi, nawet tego, ażeby niebieskie sklepienie nie upadło mu na głowę. Jeżeli nie geniuszem, którego bynajmniej nie posiadał, to odwagą był on prawdziwym orłem, który siada na piorunach, jak na gałęziach, i śmiało patrzy w boskie oblicze samego Jowisza.

Do wschodu słońca biesiadowali towarzysze Adlera pod jego przywództwem. W restauracyi okna drżały od śmiechów i wiwatów, a po wina trzeba było chodzić aż do obcych sklepów.

Około godziny szóstej wyjechały z miasta cztery powozy.

VII.

Od kilku dni do składów fabrycznych nadchodziły wielkie transporty bawełny. Adler, w przewidywaniu podwyżki cen, całą gotówkę obrócił na zakup tego produktu. Do fabryki sprowadzono obecnie ledwie cząstkę nabytku, którego ogromna ilość znajdowała się jeszcze w składach angielskich i niemieckich.

Rachuby tkacza nie zawiodły go. Już w kilka tygodni po zawarciu umów o dostawę, cena bawełny podniosła się i od tej pory podnosiła się wciąż. Zapytywano go: czyby nie odstąpił produktu o 2% wyżej. Adler słuchać o tem nie chciał. Zacierał tylko ręce z zadowolenia. Dawno nie pamiętał tak korzystnej

niepoczytalności br. Starzeńskiego. Szopa owa, jak sam starosta pisze, jest „przeznaczoną na tańce“. W czasie tańców nie zachodzi widać niebezpieczeństwo „oddawania się pijaństwu“ i „przepicia ciężko zarobionego grosza“, tylko wyłącznie w czasie zgromadzenia? Hr. Starzeński z miną filantropa litującego się nad „i tak już biedną ludnością“ ośmiela się obrażać ogół obywateli Dębnik, traktując ich jak bandę pijaków. Nadużycia tego urzędniczyny przekraczają już wszelkie granice. My teraz weźmiemy się seryo do tego pana i już w dzisiejszym numerze rozpoczynamy ogłaszać jego sprawki, których jest spory szereg.

Stan wyjątkowy w Tarnowie. Pod błogosławionymi rządami biskupa Łobosa i starosty Dunajewskiego zostali tarnowscy robotnicy pozbawieni wszelkich praw konstytucyjnych: prawa zgromadzenia i stowarzyszenia się. Oto najnowszy zakaz zgromadzenia wydany przez tarnowskie starostwo, a nieustępujący w niczem osławionym zakazom śp. Płazińskiego:

Do p. Józefa Kannera w Tarnowie.

Doniesieniem z dn. 12 bm. zawiadomili pp. Jan Starzyk i Józef Kanner tutejsze ck. starostwo o zgromadzeniu ludowem, mającem odbyć się dn. 15 b. m. o godz. 2-giej popołudniu w sali hotelu „pod dębem“ z porządkiem dziennym: „Parlament, a socyalna demokracya“ Na zasadzie § 6 ustawy z 15 listopada 1867 dz. pp. nr. 135 zakazuje odbywania tego zgromadzenia, ponieważ w hotelu „pod dębem“ niema ubikacyi, mogącej pomieścić liczniejsze grono osób.

Przeciw temu orzeczeniu prawo zakazu w przeciągu oni ośmiu do wyższego ck. Namiestnictwa przez tutejsze ck. starostwo. — Tarnów dn. 13 sierpnia 1897. C. k. radca Namiestnictwa i starosta: w. z. *Battaglia.*

„Powód“ tego zakazu jest równie kłamliwy jak i śmieszny. Przedewszystkiem bowiem w czasie przedwyborczym odbywał się w tymże hotelu „pod dębem“ szereg zgromadzeń, w których brało udział całkiem wygodnie nieraz przeszło 800 wyborców, a nie wywołało to ani niebezpieczeństwa dla zdrowia zgromadzonych, ani nie wstrząsnęło porządkiem i spokojem publicznym w Tarnowie. Powtóre w całym Tarnowie nie ma sali, któraby zdołała pomieścić całą ludność tarnowską; na tej więc podstawie możnaby zakazać każde zgromadzenie ludowe, wszystkim tak dostępne i pozbawić obywateli tarnowskich raz na zawsze prawa zgromadzenia się. Ostatecznie można ten „powód“ zastosować w całej Austryi i wszystkim obywatelom państwa odebrać konstytucyą i osobną ustawą zagwarantowane prawo urządzania zgromadzeń.

A teraz przykład deptania prawa stowarzyszania się przez tutejsze starostwo: Stowarzyszenie robotnicze „Bratnia Pomoc“ zostało dnia 12 stycznia br. przez tutejsze statostwo „zawieszone aż do rozstrzygnięcia ck. namiestnictwa“ pod pozorem, że członkowie mieli w stowarzyszeniu popełnić kolportaż. Przeprowadzona tymczasem rozprawa sądowa wykazała nieprawdziwość tego zarzutu starostwa i oskarżeni towarzysze zostali uwolnieni. Mimoto starostwo dotąd nie zniosło „zawieszenia“, w którem stowarzyszenie pozostaje już przeszło 7 miesięcy, pozbawione prawa zwoływania zarządu, walnego zgromadzenia i wogóle funkcyonowania!

W końcu jeszcze jedno nadużycie: Czternaście miesięcy upływa od czasu jak protest robotników z dnia 6 czerwca 1896 r. przeciwko nielegalnym wyborom w powiatowej kasie chorych spoczywa w tarnowskiem starostwie, nie mogąc się doczekać załatwienia. Tymczasem nielegalnie wybrani delegaci i zarząd rządzą nieprawnie kasą, kpiąc sobie z protestu.

Te nadużycia starosty Dunajewskiego i jego wspólników zostaną zaraz po otwarciu rady państwa należycie napiętnowane w parlamencie.

Antysemicka uczciwość. Osławiony Ernest Vergani, redaktor *Deutsches Volksblatt*, tj. wiedeńskiego *Głosu Narodu*, poseł do rady państwa i do sejmu dolno-austryackiego, radca gminny miasta Wiednia, jeden z głównych przywódców stronnictwa antysemickiego czyli chrześcijańsko-socyalnego, okazał się zwykłym złodziejem i oszustem, który tylko dzięki przedawnieniu nie znajduje się za kratami.

Organ niemieckich narodowców *Ostdeutsche Rundschau* napadał przez długi czas na Verganiego, zarzucając mu, iż kiedy był burmistrzem miasteczka Mühldorf, zdefraudował z kasy gminnej pieniądze, że dalej zakładając *Deutsches Volksblatt*, jako organ partyi niemiecko-narodowej, uczynił do dla osobistych korzyści, i dziś, kiedy wraz ze swym dziennikiem przeszedł do obozu Luegera, także ogromne zyski, jakie pismo przynosi, chowa do własnej kieszeni. Zwłaszcza zarzut defraudacyj w Mühldorf nie przyczyniał się do wyrobienia zbyt dobrej opinii Verganiemu, a *Ostdeutsche Rundschau* powtarzała ten zarzut bezustannie, nazywając Verganiego zwykłym złodziejem i szubrawcem, który bezzwłocznie powinien ustąpić z publicznego życia, a którego miejsce nie w sejmie, lecz w kryminale.

Wiedeński Ehrenberg połykał to wszystko, spokojnie chował te wszystkie policzki do kieszeni, a partya antysemicka, która nic sobie nigdy nie robi z zarzutów złodziejstwa, owszem przygarnia i proteguje Mittermayerów, i Verganiego popierała, a nawet wybrała go posłem do parlamentu. Ostatecznie wobec nieustannie powtarzanego zarzutu sprzeniewierzenia widział się Vergani wytoczyć proces o obrazę honoru *Ostdeutsche Rundschau* oraz trzynastu innym pismom, które za tymże dziennikiem powtarzały zarzuty przeciwko niemu, w ich liczbie także socyalistycznej *Arbeiter-Zeitung*. Przez to wytoczenie procesu chciał Vergani podreperować nieco swą opinię przed wyborami, bo mógł się już przed wyborcami powoływać na to, że te zarzuty są nieprawdziwe, skoro nie bał się wytoczyć procesu. Gdy jednak redakcya *Ostdeutsche Rundschau* oświadczyła gotowość przeprowadzenia dowodu prawdy, był Vergani na tyle ostrożnym, że starał się wszelkimi środkami odwlec rozprawę aż na czas po wyborach i dopiero w ubiegłym tygodniu rozegrał się ten skandaliczny proces przed wiedeńską ławą przysięgłych.

Oskarżonymi byli dziennikarz Arnoscht, jako autor owych artykułów przeciwko Verganiemu, poseł Wolf, jako redaktor *Ostdeutsche Rundschau*, i poseł Schoenerer, który miał wrzekomo inspirować owe artykuły. Dwaj pierwsi prowadzili dowód prawdy, Schoenerer zaś nie stawił się na rozprawie i przysłał tylko list do trybunału, w którym oświadcza, że inkryminowanych artykułów nie pisał, ani ich powodował, że jednak w szeregu innych artykułów, podpisanych swem pełnem nazwiskiem, nazywa Verganiego złodziejem i zarzut ten podtrzymuje.

Rozprawa stała się dla Verganiego szeregiem policzków moralnych. Udowodniono mu świadkami całą sieć szwindlów w prowadzeniu ksiąg, fałszerstw, oszustw, defraudacyj. Najbardziej obciążały go zeznania proboszcza z Mühldorf. Miał wprawdzie Vergani kilku swoich nastawionych świadków, ale nieprawdziwość ich zeznań wychodziła zaraz na wierzch. Sąd, przysięgli i publiczność, wszyscy już w drugim dniu rozprawy zasądzili moralnie Verganiego. I gdy Wolf jednemu z świadków zarzucił, że wraz z Verganim sfałszował protokół, a ów świadek zwrócił się do przewodniczącego z zapytaniem: „Czyż ja muszę sobie na to pozwolić?“ — odparł przewodniczący baron Benz po chwili milczenia: „Zdaje mi się, że — tak“... Verganiego traktowali tak oskarżeni i ich obrońcy, jak i przysięgli, jak ostatniego wyrzutka. Nie pomogły mu najbardziej nawet wyrafinowane sztuczki, któremi chciał się wykręcić. I tak wszystkie prawie książki kasowe towarzystwa losowego w Mühldorf, którego prezesem był Vergani i w którem również popełnił sprzeniewierzenie, oraz książki kasowe gminne znikły bez śladu. A na zapytanie przewodniczącego, odparł skwapliwie Vergani: „Wszystkie, wszystkie znikły!“ — co naturalnie wywołało powszechny śmiech. — Przewodniczący zapytał Wolfa, czy nie czuje, że popełnił obrazę, tytułując artykuł o słynnym defraudancie Feichtingerze „Vergani z Gracu“: Feichtinger skończył w kryminale, więc takie porównanie jest ubliżające. „Istotnie — odparł Wolf — obawiam się, czym nie obraził... Feichtingera“.

Ponieważ oskarżonym udał się dowód prawdy w zupełności, przeto wszyscy trzej zostali uwolnieni. Vergani, który wszedł do sali sądowej, jako oskarżyciel, opuścił ją, jako zasądzony. Uwolnienie oskarżonych jest moralnym wyrokiem na Verganiego: udowodniono mu sądownie sprzeniewierzenia, oszustwa i t. d.

Vergani natychmiast po procesie cofnął oskarżenie przeciwko dalszym trzynastu dziennikom, nie chcąc już więcej być narażonym na tego rodzaju reparacyę swego honoru, i złożył zarazem wszystkie swe mandaty.

Była to atoli tylko nowa sztuczka. Wie o tem Vergani bardzo dobrze, że być złodziejem jest u antysemitów tylko zaletą i że będą go oni teraz także popierali. Gdyby go więc powtórnie wybrali do sejmu i do parlamentu, to takie wotum zaufania oczyściłoby go na zewnątrz w opinii. I nie zawiódł się na swoich kolegach. Dziesięciu posłów antysemickich z księciem Lichtensteinem na czele wręczyło mu uroczyście pismo od Luegera, w ktorem tenże oświadcza Verganiemu, że uważa go i nadal za porządnego człowieka i godnego kolegę, który padł ofiarą kilku niesumiennych przysięgłych. To daje jaskrawy obraz zbydlęcenia moralnego antysemitów. Vergani wyrósł na — męczennika, zupełnie taksamo, jak Orłowski w Krakowie.

Ale zbyt różowo zapatrują sią antysemici, jeśli sądzą, że wolno tak bezkarnie w życiu publicznem protegować złodziei i oszustów,

---

operacyi i dziś widział, że nim przerobi surowy towar, majątek jego powiększy się przynajmniej o trzecią część.

— Wkrótce skończę z fabryką! — mówił do siebie.

Dziwna rzecz. Od chwili, w której zobaczył na odległym widnokręgu kres swojej kilkudziesięcioletniej pracy, uczuł nieznane dotychczas osłabienie. Fabryka poczynała mu się przykrzyć. Chciał gdzieś wyjechać; tęsknił. Nieraz prosił syna, ażeby tak ciągle nie przebywał za domem, ale raczej siedział z ojcem i opowiadał mu o swoich podróżach. Coraz częściej wymykał się do pastora Böhme i tam całemi godzinami rozprawiał o czekającym go wypoczynku.

— Jestem znużony! — mówił. Śmierć Gosławskiego i fabryczne awantury stoją mi już kością w gardle.

Zamyślił się i nagle dodał:

— Czy ty uwierzysz ale, mój Marcinie, że niekiedy, szczególniej zrana, gdy o człowieka kłóci się praca z łóżkiem, zazdroszczę ci twojego trybu życia. I nieraz mówię sobie: czy nie lepiej być pastorem, któremu ludzie nie klną, syn nie traci pieniędzy i nie wymyślają gazety?... Ale to głupstwo! Widać, że się zestarzałem.

I jak niedawno Gosławski, na którego grobie nie osiadła jeszcze ziemia, liczył dni pobytu w fabryce, tak dziś stary tkacz rachował miesiące.

— Do lipca roku przyszłego powinienem wyrobić wszystką bawełnę. W czerwcu trzeba ogłosić sprzedaż fabryki. Najdalej w sierpniu wypłacą mi, bo w kredyta bawić się nie myślę, a we wrześniu...

No! ja nic nie powiem Ferdynandowi do ostatniej chwili. Dopiero chłopak ucieszy się!... Swoją drogą pieniądze oddam do banków i żyć będę tylko z procentu, bo inaczej ten hultaj straciłby wszystko w parę lat, a ja musiałbym jeszcze zostać gdzie obermajstrem.... Ha! ha!

Niekiedy śniła mu się wielka góra, sięgająca prawie do nieba, z której buchał ogień i na którą on wdrapywał się ze zwykłą mu zaciętością. Czasami marzył, że jedzie balonem coraz wyżej i wyżej, aż tam — skąd gwiazdy zdają się być większemi. To znowu widział tłumy tancerzy, strojnych i pięknych, przebiegających bogate salony, które ciągnęły się nieskończenie daleko. Ale wszędzie był sam, Ferdynanda nie spostrzegał przy sobie.

Wtedy myślał:

— Ten hultaj tak odzwyczaił mnie od swego towarzystwa, że mi się nawet nie śni. Gdybyśmy jeszcze kilka lat pomieszkali w tej okolicy, zapomniałbym, jak wygląda.

Mimo to syna swego coraz mocniej kochał i jedynie dlatego pozwalał mu szaleć za domem i nie śmiał dłużej zatrzymywać przy sobie, że — go bardzo kochał.

— Co ja mam chłopca przykuwać do fabryki, która obmierzła mnie samemu? Co go może obchodzić, że ja za nim tęsknię? On przecie młody, a ja — stary dziad! On musi bawić się z młodymi, a ja — mam także swoją zabawę — pracę.

Na drugi dzień po jarmarku w mieście, stary tkacz obchodził jak zwykle, wszystkie warsztaty i biura. Kilkudziesięciu robotników było na kiermaszu, więc w fabryce opowiadano sobie o figlu pana Ferdynanda, wiele przesadzając. Mówiono, że panicz zakupił obiady we wszystkich restauracyach i że każdy szlachcic, chcący co zjeść albo wypić, musiał pierwej kłaniać się młodemu panu.

Adler z początku śmiał się z figla, ale później, obliczywszy naprędce: ile podobna zabawa mogła kosztować? — spochmurniał.

— Hultaj Ferdynand — rzekł do buchaltera — wszystko nam ale strwoni, co zyskamy na podwyżce cen bawełny. Wielki kłopot mam z tym waryatem!

Na podwórzu stały fury z bawełną, którą najęci robotnicy przenosili do składów. Adler przypatrywał się robocie, obszedł składy, surowo nakazując, aby nikt nie ważył się palić papierosów, i powrócił do kantoru.

Przy bramie dwie kobiety żywo rozmawiały ze Szwajcarem, lecz, zobaczywszy Adlera, uciekły.

Tkacz nie zwrócił na to uwagi.

Z kantoru wybiegł urzędnik, jakiś zmieszany. W kasie — buchalter, jego pomocnik i płatnik, zbici w kąt, naradzali się nad czemś, z wyraźnemi oznakami wzburzenia. Ale na widok pryncypała rzucili się szybko do swych biurek, pochylając twarze ku papierom.

Adlerowi i to nie wydało się dziwne. Wczoraj był jarmark, więc pewnie urzędnicy opowiadają sobie jakieś plotki.

W salonie dla interesantów Adler spotkał się oko w oko z nieznanym mężczyzną. Gość

zbyt już nisko cenią swoich zwolenników. Proces Verganiego niejednemu otworzy oczy na fakt, że partya, w której przewodzą takie indywidua, jak Mittermayer i Vergani, jest stekiem wszelakiej hołoty.

Demonstracya przeciwko militaryzmowi odbyła się w stolicy Belgii w Brukseli w ostatnią niedzielę i wypadła imponująco. Urządziła ją partya socyalno-demokratyczna, wzięła w niej jednak udział także spora ilość radykałów. Dwie godziny trwał uroczysty pochód, który w południe przy dźwiękach muzyki przesuwał się przez główne ulice miasta. Wzięło w nim udział do 80.000 ludzi, z których przeszło 20.000 przybyło umyślnie w tym celu do Brukseli ze wszystkich okolic Belgii. Robotnicy socyalno-demokratyczni szli uporządkowani według organizacyj poszczególnych prowincyj i miast. W pochodzie wzięli także udział posłowie i senatorzy socyalistyczni i radykalni, a tył pochodu zajmowała partya radykalna. Szczególniej zwracała na siebie uwagę deputacya górników, którzy kroczyli boso, bo zdarli obuwie, maszerując pieszo przez 17 godzin do Brukseli. Poszczególne grupy niosły sztandary i tablice z napisami: „Precz z militaryzmem!“, „Chcemy narzędzi pracy, a nie morderczej broni!“, „Wojna militaryzmowi!“ Demonstracya ta wywarła w całym kraju ogromne wrażenie.

Redaktor „Nowej Reformy“ p. Michał Konopiński przysyła nam na podstawie §. 19 ust. pras. obszerne sprostowanie, odnoszące się do naszej notatki w nrze 31 o wydaleniu tow. Englischa i Misiołka z pracy przy gazecie. P. Konopiński utrzymuje, że przeczytawszy w *Naprzodzie* szczegóły z rozmowy, którą on i druga jeszcze osoba jako delegaci komitetu obywatelskiego mieli z komisarzem policyi, Jüttnerem, a którą opowiedział w zecerni *Nowej Reformy*, przyszedł do przekonania, iż szczegóły te musiał któryś z zecerów zakomunikować redakcyi *Naprzodu*. To uważał p. Konopiński za złamanie tajemnicy redacyjnej i doniósł o tem zarządcy drukarni, Szyjewskiemu. W dalszym ciągu przedstawia p. Konopiński sprawę w następujący sposób:

„Na to odpowiedział zarządca drukarni p. Szyjewski, że usunie z działu *N. Reformy* pp. Englischa i Misiołka, jako utrzymujących bezpośrednie stosunki z *Naprzodem*, na co ja znowu uczyniłem uwagę, że wystarczyłaby może w tym wypadku pewna admonicya i zagrożenie, bez wysnuwania na razie dalszych konsekwencyj. W parę dni potem zawiadomił mnie p. Szyjewski, iż przeniósł panów Misiołka i Englischa do innego działu drukarni, przyczem zaręczył im „słowem honoru“, że ja tej ich translokacyi nie żądałem, co rzeczywiście zgodne było z prawdą.

Wobec tego nieprawdziwem jest twierdzenie *Naprzodu*, jakoby w tym wypadku pp. Misiołka i Englischa „pozbawić chciano chleba“ za ich przekonania; natomiast prawdą jest, iż wtedy dopiero wystąpiłem wobec zarządu drukarni z ogólnej natury zażaleniem przeciw składaczom drukarni, gdy z obowiązku mojego stanąć musiałem w obronie tajemnicy redakcyjnej.

Nieprawdą jest dalej, jakobym na zarządcę drukarni „wywierał presyę“, aby panów Englischa i Misiołka „dał do roboty na sztukę“, a tem mniej, aby ich dalsze pozostanie w drukarni Związkowej uczynił zależnem od tego, że o powyższem zarządzeniu „ani słowem nie pisną; natomiast prawdą jest, że przemawiałem za złagodzeniem zarządzenia p. Szyjewskiego, przyczem dodałem, że napaści *Naprzodu*, na jakie z powodu tego zajścia narażać się mogę, są mi obojętne“.

Co do samego sprostowania zauważyć musimy, że nie tłómaczy ono wcale postępowania p. Konopińskiego. To, co p. Konopiński opowiadał zecerom o swej misyi u komisarza Jüttnera, nie miało najmniejszego związku z *Nową Reforma*, lecz było wyłącznie tylko sprawą komitetu obywatelskiego; nie było więc tajemnicą redakcyjną, lecz w najlepszym razie tajemnicą komitetu obywatelskiego. Nikt zaś nie może żądać od zecerów dochowywania tajemnic jakichkolwiek komitetów, zwłaszcza, że p. Konopiński wcale sobie tajemnicy nie zastrzegł. Chyba, że p. Konopiński uważa każde słowo, które z ust jego wychodzi, za tajemnicę redakcyjną... My zaś jesteśmy innego zdania i każdy rozsądny człowiek nam przyzna, że o swej rozmowie z Jüttnerem opowiadał w drukarni jako prywatny człowiek, a nie w charakterze redaktora.

A zatem zwrócenie się jego do zarządcy drukarni było bezpodstawne.

Że nie obeszło się przytem bez pewnej presyi na zarządcę drukarni, świadczą ostatnie słowa sprostowania. Za to, że przemawiał za złagodzeniem zarządzenia Szyjewskiego, nie byłby się przecież p. Konopiński spodziewał „nnpaści“ *Naprzodu*. Nadto zdradził się Szyjewski przed tow. Englischem, że cofnąć się nie może, bo zawiadomił już redakcyę *Nowej Reformy* o ich wydaleniu.

Jeżeli zaś przedstawienie rzeczy p. Konopińskiego jest zupełnie zgodne z prawdą, to nie uwalniając go całkowicie od winy, większą jej część zwala na zarządcę drukarni, Szyjewskiego. W takim razie postępowanie Szyjewskiego jest tem haniebniejsze, że dobrowolne, zwłaszcza, że zagroził on tow. Englischowi i Misiołkowi zupełnem wyrzuceniem z drukarni, jeśli o tem zajściu publicznie słówko pisną. Wszak to przecież drukarnia związkowa, instytucya robotnicza, której współwłaścicielami są obaj poszkodowani towarzyrze. Na podobną brutalność mógł sobie zarządca pozwolić tylko dlatego, iż znając obojętność zecerów z drukarni związkowej na sprawy publiczne i interesy proletaryatu, był z góry pewnym bezkarności.

Redakcyę „Głosu Ludu Śląskiego“ i jej korespondenta Wałoszka, i wszystkie pisma, przedrukowywujące ich fałsze, piętnujemy jako nikczemnych oszczerców i będziemy ich za takich uważali dotąd, póki publicznie nie cofną rzuconych na partyę socyalno-demokratyczną potwarzy. Ów Wałoszek jestto jakaś figura dająca się w swej niepoczytalności używać za narzędzie do najnędzniejszej napaści na robotników. Przed kratkami sądowemi będą mieli Wałoszek i redaktor *Głosu Ludu Śląskiego* sposobność okazania całej bezpodstawności swych oszczerstw.

W obronie prawdy.

Zurych w sierpniu 1897.

Z najwyższem zdumieniem przeczytałem korespondencyę *Nowej Reformy* o przebiegu uroczystości złożenia serca Tadeusza Kościuszki w mauzoleum Muzeum polskiego w Rapperswylu. Zdawało mi się, że wobec tak uroczystej chwili, w której cały naród powinien odczuć swoją niedolę, żamilknie to zbrodnicze fałszowanie opinii w Polsce, jakie w życiu codziennem uprawia prasa galicyjska. Zdawało mi się, że wprost niepodobna przekręcić tego, co działo się wobec stu świadków w biały dzień.... a przecież reporter galicyjski dokonał szczęśliwie czegoś podobnego.

To co wobec całej partyi socyalno-demokratycznej urządza ta kłamliwa prasa, to samo oczywiście i mnie spotkało...

Przyjechałem do Rapperswylu wiedziony czcią głęboką dla pamięci Kościuszki, wysłuchałem wszystkich mów patryotycznych, daremnie szukając w tych ludziach bodaj iskry owej wielkości duszy, jaką miał pierwszy chłopski wódz polski, i znalazłem się w końcu na wspólnej uczcie.

Tutaj po wysłuchaniu kilku przemówień sławiących wprawdzie nie Kościuszkę, lecz p. Gałęzowskiego, zostałem wprost sprowokowany do przemówienia. Oczekiwałem, czy kto inny nie odezwie się, lecz gdy na moje zapytanie, przewodniczący pana Gałęzowski oświadczył, że nikt nie zapisany do głosu, przemówiłem kilkanaście zdań, w których oświadczyłem, że partya socyalno-demokratyczna jest tak dobrze patryotyczną, jak i „patryoci“, skoro chodzi o wywalczenie niepodległości narodu. Wskazałem jak dzikiem i szkodliwem jest, skoro klasy średnie i ich partye rzucają na nas oszczerstwo, jakobyśmy nie byli dobrymi synami ojczyzny i przedstawiwszy, jak ciężką i żmudną pracą dziejową jest rozpoczęta przez nas organizacya uciemiężonych i wyzyskiwanych mas, żądałem od „patryotów“ uznania potrzeb wielkich tego biednego ludu za ważne. Zwróciłem dalej uwagę, że „patryoci“ powinni na tych raczej napadać, co chylą karku u stóp carskich, co wyrzekają się niepodległości i całości narodowej. Zamiast pognębiać ruch ludowy, będący niejako odrodzeniem w myśl tradycyi kościuszkowskiej, podjęciem zaniedbanej pracy wśród ludu, — zamiast kopać tych, co usiłują się wydobyć z otchłani, niech pociągają do odpowiedzialności magnateryę „ugodową“, partyę „dworską“ w Poznańskiem, a „stańczyków“ w Galicyi. Mowa moja poruszyła z początku wszystkie lepsze instynkty u zgromadzonych patryotów. P. Gałęzowski ucałował mię, a dr. Lewakowski wypił natychmiast publicznie toast na cześć „takich socyalistów, jak ten, któregośmy tutaj słyszeli“.

Ze znanych bardziej ludzi przemawiali pułkownik Miłkowski i dr. Balicki. Pierwszy oświadczył, że pracę nad ludem prowadziła bez przerwy emigracya i dlatego nie może się ze mną zgodzić, jakoby ona teraz po przerwie na nowo podjętą została. P. dr. Balicki był zdania, że teraz kiedy usłyszał z ust posła socyalistycznego podobne przemówienie, należałoby nie uważać tego za coś małoważnego. Dawniej patryoci socyaliści nie mogli iść ręka w rękę z socyalistami, ponieważ ci oglądali się na obcych, na wschód i zachód, lecz obecnie należy iść razem z socyalistami aż do tego punktu, gdzie interesy poszczególnych partyj okażą się różny-

---

był zniecierpliwiony i niespokojny. Chodził prędko po sali i rzucał rękoma. Spostrzegłszy olbrzymiego fabrykanta, nagle stanął i zapytał zmieszany:

— Wszak pan Adler?

— Tak! — odparł tkacz. — Pan ma do mnie interes?

Gość przez długą chwilę nic nie odpowiadał, tylko mu usta lekko drżały.

Fabrykant pilnie mu się przypatrywał, chcąc odgadnąć: kim jest i czego chce? Nie był to wcale kandydat na posadę fabryczną. Wyglądał raczej na bogatego panicza.

— Mam do pana ważny interes — rzekł gość.

— Może pan chcesz, ażebyśmy przeszli do mego domu? — spytał Adler, domyślając się, że z tak wzburzonym człowiekiem lepiej będzie nie rozmawiać przy urzędnikach. Może ma jaką pretensyę?

Gość zawahał się, ale wnet odparł:

— Ha!... to pójdźmy do domu... Ja już tam byłem...

— Pan mnie szukał?

— Tak... Bo... widzi pan, panie Adler, my... przywieźliśmy Ferdynanda...

Myśl o jakiemkolwiek nieszczęściu była tak daleko od fabrykanta, że prawie wesoło spytał:

— Czy Ferdynand tak się spił na jarmarku, że go aż odwieźć było potrzeba?

— On jest ranny — odparł gość.

Byli już na dziedzińcu przed domem. Adler zatrzymał się nagle.

— Kto ranny? — zapytał.

— Ferdynand.

Starzec rozłożył ręce.

— Połamał nogi, kark skręcił? Co to znaczy?

— Ranny jest... kulą.

— Kulą? On? Jakim sposobem?

— Miał pojedynek.

Czerwona twarz fabrykanta miała teraz kolor cegły. Byli na ganku. Adler rzucił w sieni kapelusz i wpadł w otwarte drzwi. Nawet nie spytał: przez kogo syn został raniony? Cóż go to obchodziło?

W pierwszym pokoju zobaczył służących, i jeszcze jednego nieznanego mężczyznę. Fabrykant odepchnął ich i stanął przed szezlągiem, na którym leżał Ferdynand.

Ranny nie miał na sobie surduta, ani kamizelki. Twarz jego była tak strasznie zmieniona, że tkacz w pierwszej chwili nie mógł poznać własnego syna. W głowach siedział doktor.

Adler patrzył... patrzył... Potem upadł na niezajęte krzesło i oparłszy potężne dłonie na kelanach, rzekł stłumionym głosem:

— Co ty wyrabiasz, łajdaku!

Ferdynand spojrzał na niego z nieopisanym smutkiem. Ujął ojcowską rękę i — pierwszy raz od bardzo dawna — pocałował ją.

Adler wstrząsnął się. Oniemiał.

Ferdynand począł mówić cicho, z przerwami:

— Musiałem papo... musiałem!... Wszyscy na nas krzyczeli... szłachta, kelnerzy, gazety.

Mówili, że ja tracę pieniądze, a ty obdzierasz robotników... Niedługo... pluliby nam w oczy...

— Nie męcz się pan! — szepnął doktor.

Starzec otworzył duże usta, pochylił się nad synem, patrzył, słuchał. Postawa jego wyrażała najwyższe zdziwienie, żal.

— Ratuj mnie, papo! — rzekł Ferdynand podniesionym głosem. — Ja obiecałem doktorowi dziesięć tysięcy...

Chmura nlezadowolenia przemknęła po twarzy Adlera.

— Dlaczego aż tyle? — zapytał machinalnie.

— Bo ja... ginę... Czuję, że ginę!...

Starzec zerwał się.

— Tyś waryat! — zawołał. — Zrobiłeś głupstwo, łajdactwo!... No, ale jeszcze nie umierasz...

— Umieram! — jęknął ranny.

Adler klasnął w ręce.

— Oszalał! jak Boga kocham, oszalał!

Zaczął biegać po pokoju, wyciągać palce, aż trzeszczały, i nagle, stając przed doktorem, zawołał:

— No, powiedzże mu pan, że on jest głupi... Mówi o śmierci i myśli, że ja mu dam umrzeć!... Tobie umrzeć?... Obiecałeś doktorowi dziesięć tysięcy? To za mało. Doktorze — mówił starzec gorączkowo — ja za mego syna dam sto tysięcy rubli, jeżeli jest chociaż cień niebezpieczeństwa. Bo za to tylko, że on głupi, ja płacić nie będę. Jakiż jego stan?

— Nic wprawdzie niebezpiecznego — mówił doktor — zawsze jednak kuracya musi być staranna. (C. d. n.)

mi. Dr. Balicki zgadzał się ze mną w zupełności. W dalszej dyskusyi przemawiali ludzie, których zdanie nie miałoby żadnego znaczenia, ani w kraju, ani za granicą. Wszystko to obracało się około tematu poruszonego wyłącznie przezemnie i kiedym się rozstawał z uczestnikami wspólnej uczty, ani mnie, ani nikomu innemu się nie śniło przedstawiać całego jej przebiegu, jako klęski socyalistów!

Teraz dopiero występuje na scenę reporter lub redaktor galicyjski, który fałszuje doniesienia reportera!... Rozpoczyna się nikczemna praca tych rzezimieszków, znających alfabet i używających tej sztuki pisania na szerzenie kłamstwa za kłamstwem

Tam zwłaszcza, gdzie trzeba ukąsić w łydkę kogoś ze socyalistów, nie zna taki rzezimieszek żadnego skrupułu. Przekręca, opuszcza najważniejsze rzeczy, fałszuje z zimną krwią, a raczej z owem zacietrzewieniem złośliwego kretyna, który cieszy się, gdy zanieczyści publiczną studnię...

I nie widzą ci ludzie, że przecież prędzej czy później głosy upośledzonych dostaną się na wierzch; nie czują, że to co czynią, jest zbrodnią, bo do rozgoryczenia nędzy dodają jeszcze nienawiść i zatwardziałość oszukanych! Czy ten reporter, który podpisał się, „Z.“, potrafi otwarcie bez maski bezimienności usprawiedliwić się przed swojem sumieniem, tego niewiem, ale niechaj wie, że w oczach każdego uczciwego człowieka, obecnego wówczas w Rapperswylu uchodzić musi za bezwstydnego łgarza. Temu łgarzowi dano do dyspozycyi czysty papier dziennika i zrobiono z prywatnego łgarza, — bandytę dziennikarskiego, szkodliwego dla całego ogółu.

Przyjdzie czas, że lud polski porachuje się z tą ćmą oszczerców, pasożytujących na jego biednym organizmie... *Ignacy Daszyński.*

Stowarzyszenia zawodowe.

Niemiecki organ socyalistyczny w Ameryce *Bellevilska Gazeta Robotnicza* przynosi artykuł o stowarzyszeniach zawodowych, który i dla naszych robotników posiada znaczenie, jakkolwiek pisany jest ze stanowiska zupełnej swobody organizowania się panującej w Ameryce, podczas gdy u nas w Austryi stowarzyszenia zawodowe mają do walczenia nietylko z przedsiębiorcami, ale i z ciasną, przychylną burżuazyi ustawą o koalicyi, krępującą swobodny rozwój organizacyj. Artykuł ten brzmi:

Jestto losem każdego ruchu społecznego, że bywa niezrozumiany. Ruch zawodowy nie stanowi wyjątku. Jakichże głupstw mu się nie podsuwa, jakich niemożebności mu się nie imputuje! Ignorancya, ciasny egoizm i brutalna przemoc, stojąca na usługach interesów klasy posiadającej, połączyły się ze sobą, by zgnieść ruch zawodowy, bo jest on dla bardzo wielu nieprzyjemną kością w gardle. Ale im bardziej tę kość szarpią, by ją z gardła wydrzeć, tem większy sobie samym ból sprawiają, bo kość ta ma ostre brzegi.

Zniszczyć ruch zawodowy znaczyłoby odebrać klasie robotniczej prawo i możność obrony swego prawa bytu ludzkiego przed wyzyskującym ją kapitałem. Odmówić uznania zawodowym organizacyom robotniczym, znaczy odmówić słabszemu prawa bronienia się przed samowolą mocniejszego w jedyny możliwy dlań sposób. Występować wrogo przeciwko dążnościom zorganizowanych robotników znaczy tyle, co skazywać robotników na dolę indyjskich paryasów.

Społeczeństwo wymaga od każdego swego członka, by się okazał pożytecznym. Cel stowarzyszeń zawodowych odpowiada temu żądaniu, gdyż polega na zapewnieniu robotników bytu, który chroni go od tego, by podniósł rękę przeciwko społeczeństwu i przez jednostkową „zbrodniczą“ samopomoc zabrał sobie to, czego mu społeczeństwo odmawia.

Państwo mymaga od każdego swego członka, by był dobrym obywatelem. Robotnicy, dążąc przez planową organizacyę i solidarne postępowanie do zapewnienia sobie znośnego utrzymania, starają się właśnie temsamem uzyskać materyalne i moralne środki, by być „dobrymi obywatelami“.

Nasze wolnościowe instytucye gwarantują mieszkańcom prastare prawo łączyć się ze sobą dla obrony swych interesów i przez takie zjednoczenie i czasowe podporządkowanie woli jednostki pod wolę ogółu zyskiwać siły, jakich jednostka nie posiada. Zorganizowani robotnicy stoją na gruncie tego prawa. W twardej szkole życia nabrali gorzkiego doświadczenia, że pojedynczo są bezsilnymi wobec przemocy kapitału. Poznali, że odosobnione działanie jednostek czyni ich piłką w ręku obcej samowoli. I wsparci na tem doświadczeniu postanowili zużytkować dla siebie korzyści organizacyi i potędze bezdusznego kapitału przeciwstawić potęgę zjednoczonej żywej świadomości i energii w celu uchronienia siebie i swoich przed nędzą.

Kto tedy wrogo występuje przeciwko ruchowi zawodowemu, ten odmawia robotnikom prawa łączenia się dla obrony swych wspólnych interesów, ten odmawia robotnikom pretensyi do znośnego, godnego człowieka bytu i odmawia im prawa udziału w zdobyczach naszej cywilizacyi w mierze odpowiedniej ich znaczeniu społecznemu i potrzebom ich umysłów i serc.

Ruch zawodowy ma może wiele wad i braków, ale tych nie usunie się przez to, że się wszelkie możliwe trudności piętrzy dalszemu rozwojowi stowarzyszeń zawodowych i pogłębieniu ich przewodnich zasad. Stowarzyszenia zawodowe popełniły już niejeden błąd, ale nie jest to wcale powodem do odrzucania ich całkiem uprawnionych żądań. Stowarzyszenia zawodowe nie są w stanie z słabych ludzi zrobić istót doskonałych, ale ci słabi ludzie nie staną się z pewnością lepszymi, jeśli się ich będzie wszelkimi środkami podłości i przemocy prześladowało i zmuszało walczyć nieustannie nietylko o swój nędzny byt, ale i o swe obywatelskie prawa.

Dlatego przychodzimy do wniosku, że stowarzyszenia zawodowe zasługują rzetelnie na energiczne poparcie każdego kulturnego człowieka. Kto nie przyznaje robotnikom prawa godnej człowieka egzystencyi, ten nie ma sam w oczach sprawiedliwie myślących ludzi prawa bytu.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. W większości zawodów odbyły się już poufne zgromadzenia w sprawie kongresu lwowskiego. Przypominamy tym organizacyom, które jeszcze sprawy obesłania kongresu nie załatwiły, że już tylko dwa tygodnie dzielą nas od kongresu, że należy więc z jaknajwiększym pośpiechem i energią wziąć się do roboty.

W Kosocicach odbyło się w niedzielę 15 bm. zgromadzenie, na którem tow. Kaczanowski przedstawił sprawę kongresu lwowskiego, oraz organizacyi. Zgromadzenie wybrało na kongres delegata, oraz rozpoczęto zbieranie składek na pokrycie kosztów. Obecni byli włościanie z Kosocic i Rajska.

Zielonki. W niedzielę 15 bm. na odbytem tu zgromadzeniu referował tow. Sułczewski. Licznie zebrani włościanie gorąco oklaskiwali wywody mowcy o organizacyi oraz o stanowisku posłów socyalistyznych w parlamencie.

Bielsko. Dnia 13 bm. odbyło się tu liczne zgromadzenie ludowe. Tow. Cingr składał sprawozdanie poselskie. Po udzieleniu tow. Cingrowi wotum zaufania, zabrał głos tow. Ulrich, który przemawiał na temat postępowania stojałowczyków. Następnie przemawiał tow. Sojka, poczem przewodniczący tow. Jaworski zamknął zgromadzenie.

Ustroń. W niedzielę dnia 15 bm. odbyło się tu publiczne zgromadzenie. Zgromadzenie miało się odbyć pod gołem niebem, ponieważ jednak nie było pogody, odbyło się w pobliskiej restauracyi Przewodniczącym obrano tow. Sojkę i tow. Wojnara. Do punktu 1-go porządku dziennego: „Kasy brackie a robotnicy“ referował tow. poseł Piotr Cingr. Po nim przemawiali tow. Sojka i Wojnar. Następnie tow. Cingr złożył sprawozdanie poselskie. Po udzieleniu mu wotum zaufania zabrał głos tow. Kolec. Po opisaniu stosunków politycznych w Austryi mówił o wiecu cieszyńskim i o zachowaniu się prasy galicyjskiej wobec partyi socyalno-demokratycznej. W końcu postawił następującą rezolucyę: „Zgromadzeni w dniu 15 sierpnia 1897 wyrażają swoje największe oburzenie prasie galicyjskiej z powodu oszczerstw i obelg rzucanych przez nią po wiecu cieszyńskim na partyę socyalno-demokratyczną.“ Rezolucyę tę przyjęto z wielkim zapałem, poczem przewodniczący zamknął to zgromadzenie, trwające przeszło 4 godziny, wznosząc okrzyk: „Niech żyje socyalna demokracya!“

Z warsztatów i fabryk.

Kraków. W drukarni Koziańskiego zgniotła maszyna lewą rękę zatrudnionej tam robotnicy Maryi Sermak. Koziański nie ubezpieczył jej ani w kasie chorych, ani od wypadków, a wyszło to na jaw dopiero po katastrofie. Jestto charakterystyczne dla tego pryncypała, że mając stosunkowo ograniczone pole wyzysku, nie waha się przynajmniej w ten sposób oszukać biedną robotnicę. Władza przemysłowa powinna surowo ukarać tego ptaszka.

Kraków. Ostrzegamy towarzyszów malarskich przed majstrem Karolem Górką. Pracował u niego od wiosny tow. Stefan Borkowski. We czwartek d. 12 bm. Górka oddalił go i nie chce mu wypłacić kilku złr., które mu winien. Robotnicy malarscy nauczą tego majsterka obchodzenia się z ludźmi i porządnej wypłaty.

Oświęcim. Liczni robotnicy skarżą się na delegata bialskiej powiatowej kasy chorych Władysława Bieleckiego. I tak majster szewski Izrael Mehlmann potrącał przez 13 miesięcy tow. Józefowi Kozłowskiemu wkładki do kasy, a nie uiścił delegatowi ani jednej. Zarząd kasy powinien wglądnąć w praktyki p. delegata.

Nowy Sącz. Przykładem niewoli na kolejach państwowych jest fakt następujący: Robotnik Jan Domana prosił naczelnika magazynu materyałów Hausmana o 5-godzinny urlop. Naczelnik odmówił mu go jednak. Więc Domana, mając nader pilną sprawę, bez urlopu pozostał w domu, za co dostał 2 złr. kary. Jestto szczyt barbarzyństwa ze strony urzęduika, odmówić robotnikowi tak wprost śmiesznie małego urlopu jak 5-godzinny. Wszak robotnik jest także człowiekiem i całe jego życie nie streszcza się w warsztacie.

Strejk piekarzy w Warszawie zakończył się, jak wiadomo, zwycięztwem robotników. Że jednak ci ostatni nie uważają akcyi za skończoną, lecz myślą o utrwaleniu owoców swego zwycięztwa, dowodzi następująca odezwa, rozrzucona z końcem ubiegłego tygodnia w Warszawie:

Bracia piekarze! Dziś dwa tygodnie upływa od chwili, jak w całym fachu porzuciliście robotę, oświadczając majstrom swoje słuszne żądania, wtedy oni, zasłaniając się prawem, obiecali po upływie 14 dni uwzględnić żądania wasze. Wyzyskiwacze nasi skorzystali jednak z ruchu naszych świadomych szeregów i pospieszyli popodnosić ceny pieczywa i nie znalazł się żaden paragraf prawny, któryby im zabronił tego jawnego szwindlu, na który my, robotnicy, suchym chlebem się odżywiający, najwięcej ucierpieliśmy! Hańba moskiewskim rządom za taką niesprawiedliwość!

Towarzysze! zobaczmy jeszcze raz, jak majstrowie słowa dotrzymują, przekonamy się, do czego im służy prawo, którym się zasłaniali 2 tygodnie temu. Lecz dzisiaj prawne wybiegi na nic się im nie przydadzą, a żądania wasze znów w całej Warszawie odezwą się echem! Baczność! Od dziś piekarze pracują **10** godzin na dobę, za tygodniowem wynagrodzeniem, bez wiktu u majstrów!

U Michlera i Kropiwnickiego na żądania nasze przystali. Towarzysze, idźmy naprzód ręka w rękę! Tam, gdzie majster złamie słowo i nie zgodzi się na żądania nasze, — należy zastrejkować! Niech tam nikt do roboty pójść się nie waży! Jeżeli majstrowie trwać będą w uporze, to przestaniemy znów piec w całej Warszawie, aby solidarnie pomagać walczącym o swe prawa towarzyszom. Nawet i w tych piekarniach, gdzie już ustąpili, piec przestaniemy! A zatem do boju! Wygrana nasza!

Warszawa, piątek 13 sierpnia 1897 r.

Warszawski Komitet Robotniczy.

Baczność! Kaflarze! Robotnicy kaflarscy w Bukareszcie rozpoczęli akcyę w sprawie uregulowania cennika płac i upraszają towarzyszów kaflarskich z Galicyi, by nie przyjeżdżali na robotę do Bukaresztu, aż sprawa cennikowa z pracodawcami nie zostanie załatwiona.

KRONIKA.

Baczność! Komitet partyjny dla Galicyi wschodniej ogłasza następujące ostrzeżenie: Wojciech Lewandowski i Jan Bukowski z Borysławia sprzeniewierzyli pieniądze partyjne; z tego powodu wyklucza się ich z partyi i zawiadamia się o tem ogół towarzyszy.

Procesy. Tow. Grabowskiego z Rybny skazał sąd krakowski na 100 złr. kary, względnie 20 dni aresztu za kolportaż w czasie wyborów. Przeciwko temu wyrokowi, którego surowość nie jest niczem uzasadniona, wniósł tow. Grakowski zażalenie.

Hr. Starzeński, starosta podgórski, mimo, że jest urzędnikiem konstytucyjnego państwa, wyobraża sobie, że panują jeszcze dawne czasy pańszczyźniane. Koło Hawełki przystąpił do fiakra nr. 83 Wojciecha Hurli, uderzył go kilka razy laską i krzyknął: „Do mostu!“ Oburzyło to nawet wszystkich obecnych, którzy zaczęli zachęcać fiakra, by biczyskiem potraktował brutalnego panka. A gdy Hurla się odezwał: „Za co mnie pan bije?“ — zawołał Starzeński policyanta i kazał go aresztować. Policyant też istotnie zamiast aresztować rozbijającego się awanturnika, aresztował biednego fiakra i zaprowadził go na policyę. Tu komisarz Balicki nie pozwolił mu ani słowa pisnąć, krzyknął nań: „Stul pysk, hołoto, bo ci dam w mordę!“ i uderzył go w twarz. Oto urzędnicy państwowi, roszczący sobie pretensyę do inteligencyi, a postępowanie wskazuje na zupełne zdziczenie obyczajów.

P. Walenty Łacheta z Zabierzowa uprasza nas o zaznaczenie, że nie jest on zwolennikiem jezuickim, ale owszem agituje za socyalną demokracyą. Istotnie w poprzednim numerze mieliśmy nie jego na myśli, ale osławionego Łachetę, wójta z Dąbia, który jest jezuickim usłużnikiem, a którego sprawki niejednokrotnie opisywaliśmy w *Naprzodzie*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Tow. P. w Szczakowej. Nie możemy dojść z listu, o co Wam idzie.

Towarzysz w Krynicy. Czy będziecie w stanie dowieść opisanych faktów? Jeżeli tak, to podajcie nam swój dokładny adres. W przeciwnym razie nie możemy umieścić.

KOMUNIKATY.

Stowarzyszenie zawodowe pomocników handlowych w Krakowie. W sobotę 21 b m. o godz. 3 popoł. w restauracyi Schönberga, Starowiślna 26 **pierwsze walne zgromadzenie.**

Rachunki partyjne.

Fundusz prasowy. Kleinberger i Misiołek 4·07. Ze zgromadzenia kobiet 5·20. Z puszek 2·57. Przyjaciółka —·50. Zbieg —·20. Heretyk —·25. Z kancelaryi Rothweina 2·—. Z puszek 2·27. Od Chorążego —·30. Dochód z broszur od Sułczewskiego 4·—. Dochód z broszur 1·44. K. 41·30. G. 100·—. Zygmunt 1·—. K. S. —·23. Dochód z broszur —·50. F. S. —·05. Kupfer —·50. Z puszek 3·06. Tatar —·10. Tatar —·10. Salka za Karola —·10. Z puszek 2·71. G. 15·—. Nowy Sącz za broszury 2·90. U. —·43. Józef Wolka 4·95. Pożyczono od Klemensa 50·—. C. S. —·20. Tatar —·20. Dochód z broszur 1·02. Pożyczono na w. 100·—. Kupfer —·30. Wela Czortków 1·—. Z puszki —·44. Dochód z broszur —·72. M. Z. za dodatek 2·—. Razem 355 złr. 66 ct.

Fundusz agitacyjny. Za zaproszenia —·50. Dr. Landy —·50. Ze wstępu do ogrodu 76·25. Naddatki 1·25. Dar p. Goldberga 9·—. Zabawki 1·13. Misiołek —·36. Za duszę Dzieduszyckiego —·10. Zebrano na zgromadzeniu u Ebera 1·50. M. Zawalski, delegat —·11. Galewicz za majówkę 1·20. Zwrot z podróży Bałandy 6·77. Weinberg —·10. Z Mikuszowic p. Biała —·90. Lista numer 1. kongres 2·20. Michalski 1·—. Baumfeld —·10. Stankiewicz —·65. Złożono na zgromadzeniu 3·28. Lista numer 1. —·10. Razem 107 złr.

Fundusz dla prześladowanych. Stow. krawców z puszki 1·28. Weinberg —·10. Razem 1 złr. 38 ct.

Lista zamknięta 12 sierpnia. *Kleinberger.*

Towarzyszu!

Jeśli chcesz być dobrze ogolonym, ostrzyżonym lub ufryzowanym, to idź do tow.

KUPFERA

na ulicę Wolską, Numer 1.

Wszelkie gazety robotnicze są tam do czytania. (2—4)

Wydawca: **Franciszek Sułczewski.** Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Pasławski.** Druk A. Słomskiego w Krakowie.